Rok
1849.

II.


DRUKARNIA
W·L· ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE

1.

r. 1849.

Rok 1849. upamiętnił się w moim umyśle żywo przejściem armii moskiewskiej przez Kraków na Węgry. „Moskal": to groźne i znienawidzone słowo było na ustach wszystkich. A jednak ciekawość widzenia zbliska tego potwora północy brała górę nad strachem. W ogrodzie przy sztachetach stojąc patrzeliśmy na to szare mrowie, ciągnące bez końca drogą jedną za plantami. (dziś ul. Andrzeja Potockiego) Dzikie wrzaski Czerkiesów i takaż muzyka na drzewnych, piskliwych instrumentach; to znów przeciągły, nad wszelki wyraz żałosny, smętny, monotonny śpiew, dreszczem nas przejmowały. Dom Steinkellera upatrzony

był na większą kwaterę. Pułkownik Rüdiger stanął w pokojach wuja, w pawilonie od ul: Różanej / dziś św. Tomasza. Tyły domu wraz z dwoma podwórzami i stajnią zajęli sołdaci. Odór dziegciu rozszedł się po ogrodach i mieszkaniu naszem. Wszystkie drzwi i furtki ktoś zamknął, zabezpieczając nas w ten sposób od zetknięcia się z dziką hordą... Przysłowie, że „djabeł nie taki straszny jak go malują” wkrótce się sprawdziło: Zielony postój Moskali, z niepokojem oczekiwany, przeszedł w domu naszym nietylko bez szkody ważniejszej, lecz obfitował w momenty komiczne. — Wzdłuż sali balowej od strony wielkiego

podwórza był długi korytarz oszklony, z tego miejsca, jakby z loży obserwowaliśmy Moskali przy ich gospodarskich czynnościach. Zaraz po zajęciu kwatery wykopali 3 doły na ogniska pod kotły i wzięli się natychmiast do gotowania strawy, której dostarczyć musiał, jak się rozumie, właściciel domu. Żołnierze wybredni nie byli, nawet wdzięczność okazywali za byle jaki dodatek n.p. cebulę, włoszczyznę i t.p. Któregoś dnia, zbadawszy już gdzie co kupić można było, jeden z kucharzy przyniósł funt świeczek łojowych, jakie w wiązkach związane za knoty sprzedawano, zanurzył je w gotującym się krupniku a następnie wyjąwszy knoty, dmuchał je

przeciągnął przez gębę kilka razy ze smakiem i rzucił sąsiadowi do kotła (!) i koleją szły kości od ust do ust, wyrzucone wreszcie na ziemię. — Byli między żołnierzami mężczyźni starsi, dziwnie dobrodusznie; ci, przez sztachety zaglądając do ogrodu, coś serdecznie do mnie i Stefci S. przemawiali, pokazując ręką że tyle dziewczynki w domu zostawili; wzdychali przytem żałośnie, biedaki! Któryś pogłaskał piękne warkocze Stefci i groził żartobliwie, że przelezie przez sztachety i patałszem utnie jej włosy, co Stefcię napełniało trwogą... Wieczorami śpiewali, żałośnie zawodząc.

W drugim dniu moskiewskiej załogi stojące

wizytę rodzicom moim pułkownik Rüdiger. Wielce pokaźna była to postać; urodziwy i eleganckich manier, w wysrebrnonym iście mundurze, z mnóstwem orderów na piersiach. Pułkownik został na herbacie, był niezmiernie ugrzeczniony, zapytywał czy jego wojsko dobrze się zachowuje na kwaterze, co rodzice potwierdzili. Rozmowa toczyła się po francusku. Herbata bardzo gościowi smakowała, również placek z masą migdałową. – Wiadomo, że Moskale zwykli pijać dużo herbaty, więc nasz bardzo piękny i wcale duży, platerowany samowar wystarczyć nie mógł, wziął go więc służący dla świeżego nalania i nałożenia węgla i długo się

nie ukazywał. Pauza stawała się nieprzyjemna. Ja z Zosią, naszą dawną niańką, przypatrywałyśmy się gościowi przez uchylone drzwi sąsiedniego pokoju. Zosia wołumiała pytające spojrzenie matki mej w naszą stronę i wyszła przynaglić Wojciecha o przyniesienie samowaru. Wkrótce przedstawił się jej fatalny widok: na stole stał tylko szkielet blaszany, kosztownego samowaru a wokoło zastygało już ogromne koło stopionego srebra! Wojciech nasypał bowiem rozżarzonego węgla, zapomniawszy nalać wody! Postawił inny, codzienny samowar, lecz szkoda była znaczna. — Koadjutor zrana, kiedy ojciec mój leżał jeszcze w łóżku, wszedł Wojciech z dużym, czarnym portfelem w ręku,

który to poprzednio, malarz rano sp[illegible]łając w przedpokoju, pod krzesłem stojącem w pobliżu wieszadła na którem poprzedniego wieczora wisiał płaszcz pułkownika Z... Dzieciak wstał natychmiast i zameldował się u właściciela portfelu! Pułkownik widząc ojca w[illegible] dzącego ze zgubą, zmieszał się ogromnie i zapytał, czy kto oprócz ojca miał portfel w ręku a dowiedziawszy się, że malarz go służący, jeszcze w [illegible]ksze zawadzał pomieszanie. Otwarłszy portfel, wyjął z niego kilka małych arkusików cienkiego papieru, zapisanego drobnemi znakami, portfel odrzucił na bok niedbale i poli[illegible] wsiu arkusiki, wyskoczył z łóżka i rzuciwszy się do całowania ojca mojego,

rzekła wdzięcznością i zarazem wzruszeniem —: zguba tych dokumentów mogła stać się nieszczęściem dla nas!... Ojciec ośmielił się uczynić uwagę pułkownikowi, że postąpił sobie bardzo lekkomyślnie, zostawiając portfel w kieszeni płaszcza i mógł był łatwo sprowadzić kłopot na dom nasz i wiernego naszego sługę. Wojciech nie chciał przyjąć materialnego, dopiero na wyjezdnem, <u>na pamiątkę</u> tylko sztuki wmówił pułkownik w uczciwego służącego 2 imperyały. W nieszczęsnym portfelu znajdowało się i [illegible] 45.000 Rs., które pułkownik w obecności ojca musiał przeliczyć. Pamiętam, że to zdarzenie i katastrofa z samowarem niemile nas

dotknęły i odetchnęliśmy swobodniej, jak nas
Moskale opuścili. — Nos samowara także się popra-
wił, gdyż ciotka Steinkellerowa, zabrawszy jego
szczątki do Warszawy, kazała go oddać w fabryce
Frageta na nowo i powrócił do nas w swojej
pięknej formie. — Wiele lat później darował
ojciec mój ten samowar koledze swemu, dr. Jó-
zefowi Jaszczurowskiemu, jako honorarium
za wyleczenie się z poważnej choroby; dziś (r. 1918)
jest on własnością wnuczki dr. Jaszczurowskiego,
doktorowej Bystrzyckiej w Radomiu.

W czasie przechodu armii moskiewskiej przez Kra-
ków wezwano ojca mojego do domu jednego z puł-

koników, która nagle w hotelu Vollsia zachorowała. Była to ładna, miła kobieta, Polka. Po odbytej konsultacyi pułkownik szczęśliwy że idzie nie grozi niebezpieczeństwo rozgadał się z ojcem o Warszawie, którą widocznie z żalem opuścił. Kiedy na zapytanie czy ojciec zna to miłe miasto, potakującą otrzymał odpowiedź, zawołał z radością i dumą: To p. doktor musi znać moją kochaną żonkę, zna ją przecież cała Warszawa! niech sobie pan przypomni – to jest Teofilka z Długiej ulicy! Rzeczywiście była to właścicielka słynnej w owym czasie i bardzo uczęszczanej kawiarni w Warszawie. —

r. 1850 – pożar Krakowa.

Rok ten rozpoczął się dla nas szczęśliwie, bo uwolnieniem stryja mego, Tomasza, po 2 letniem ciężkiem więzieniu u Bernardynów w Krakowie a następnie poznaniem i poślubieniem bratowej wuja Piotra Steinkellera, p. Rudolfowej S. z Warszawy, ładnej sympatycznej i eleganckiej damy, która wraz ze swoją dame de compagnie, panną Holzman na dłuższy pobyt do Krakowa zjechała.

Lato w tym pamiętnym roku było niezwykle skwarne – 3 miesiące ani kropla deszczu nie spadła. Stary Aleksy, stróż domu nie mało

się namozolił z podlewaniem 2 ogródków. Planty w lipcu zaczęły przybierać żółty kolor, powietrze stawało się codzień cięższe, wszystko tchnęło żarem. Mieszkanie nasze, obszerne i chłodne, chroniło nas przed spiekotą. Dn. 18go lipca p. Rudolfowa zaprosiła moich rodziców i kilka znajomych osób na obiad do pobliskiego hotelu Pollera na godzinę 1-2 południu;. O tej właśnie godzinie, i ja zasiadłam z naszą kochaną Zosią do obiadu, kiedy z wieży Maryackiej uderzył dzwon po raz trzeci godzinę pierwszą. Zosia zerwała się od stołu, nadsłuchując dalszych uderzeń, które się ciągle powtarzały... Nie było wątpliwości że w śródmieściu.

się pali! Co żyło w domu wybiegło na ulicę w trwo-
dze okropnej, równocześnie rodzice z p.p. Rudolfo-
wą i Stolzmann powrócili do domu z wiadomoś-
cią że pożar wybuchł w Dolnych Młynach przy
ul. Krupniczej; wiatr wiał w stronę śródmieścia,
dachy przeważnie wówczas gontowe, wysuszone
upałem, brak zupełny straży pożarnej i sika-
wek, pomnażały grozę położenia. Ojciec mój,
wraz ze służbą naszą i Steinkellerowską zorga-
nizował ratunek, na jaki się zdobyć można
było na razie. Dom był parterowy, drabiny
w podwórzach zawsze do dach.! przystawione,
jak i kilkanaście parcianych wiader pożar-
nych, w dobrym będących stanie, więc mężczy-

inni wyleźli na dach od strony ul: św. Toma-
sza, kobiety zaś, rozstawione od studni poda-
wały sobie wiadra wody którą pompował na-
przemian któryś z gości p. Rudolfowej. Widzę
dziś jeszcze matkę moją w białej sukni i
p. Rudolfową w bogatej tualecie z szafirowego
atłasu, zachlapane wodą, jak sobie nie zmordo-
wanie podawały wiadra, wespół z francuzmerem
domowym, wytrwale, bez zmęczenia, czas dłuż-
szy a wszystkie prześcignęła w wytrwałości
p. Rudolfowa, nie schodząc prawie ze stano-
wiska do wieczora. Ojciec na dachu kierował
polewaniem. Upał wzmagał się w miarę zbli-
żającej się pożogi. Co chwila ktoś z wysłanych
dla zasięgnięcia języka, wracał z hiobową wieś-

cią o gwałtownem szerzeniu się ognia. Ogień przerzucił się na ul. Gołębią, na tyły Biblioteki Jag. i Collegium Physicum. Tylko nadludzkiem wysiłkom młodzieży akademickiej zawdzięczać należy że gmachy te ocalały. Wiadomość że pałac Biskupi i kościół Franciszkanów gore, wytrąciła naszą domową drużynę z jakiej takiej dotąd równowagi. Powstał płacz i lament, ich wzbierał serca... W tem powszechnem zamieszaniu nie spostrzeżono że znikła p. Holzmann, którą chciała się dać zastąpić p. Rudolfowa, wyczerpana z sił. Przeszukano dom cały, ogrody – nadaremnie. Pocieszaliśmy p. S. że p. Holzman może wyszła na miasto zbadać sy-

luacyę. Późnym wieczorem ojciec wszedł ze swe-
go stanowiska — dachy były tak zlane, że już
w mieszkaniach pokazywały się plamy na
sufitach. Zmęczony mój ojciec, chcąc choć
trochę dać wypocząć znużonym członkom,
wszedł do sypialnego pokoju, odrzucił kapę
z łóżka swojego i cóż ujrzał? oto chude nogi,
obute w eleganckie trzewiczki p. Stolzman, le-
żącej na brzuchu z głową pod poduszką, z pod
której dał się słyszeć płaczliwy głos: czy pali
się jeszcze? „Wstydź się pani chować głowę
jak struś w piasek" zawołał ojciec. Pali się
miasto, wszyscy pracujemy, niepokoimy się o pa-
nią. Wyłaź-że pani i pokaż się p. Rudolfowej,
a potem weź się do jakiej pracy, której wszyscy

mamy pełne ręce. Konieczny ten epizod wśród groźnej sytuacji, nie mogę tylko oderwać myśli naszą. — Mnie kazano pójść do łóżka, a po wrażeniach dnia, usnęłam.

Wczesnym rankiem obudził mnie ogromny ruch na plantach, płacz kobiet i dzieci, lament i krzyki... Pobiegłam do okna i z trwogą ujrzałam istne mrowisko ludzi, zalegających ścieżki i trawniki. Nieszczęśliwi pogorzelcy, obciążeni tobołkami, unosząc w kufrach, koszach i tłumokach swój dobytek rozbili obozowisko na plantach. Między ruchliwym tłumem uwijały się wiejskie mleczarki z dzbanami mleka, przekupki z gorącym barszczem, bułkami i t. p.

tykułami żywności. Mieszkańcy wolnych
od ognia dzielnic znosili w koszach co mogli
na razie, aby pokrzepić siły biedaków nieszczęs-
nych, zrozpaczonych. Poczciwy jeszcze w owym
czasie lud krakowski okazał dobroć serca
i prawdziwe miłosierdzie dla nędzy ludzkiej
i bezgraniczną bezinteresowność. Do zrzeszeń
i komitetów znosił każdy, choć sam niezа-
możny, co w domu posiadał lub nabyć mógł,
aby tylko ulżyć doli pogorzelców. — Widzia-
łam wiele dzieci spłakanych, trzymających
na ręku swoje psy i koty, uratowane z pożogi.
Dowiedziałam się, że nikt w domu naszym [illegible]
nie zginął. W okropnym upale mimo wczesne-
go ranka wzięto się ponownie do polewania

prędko schnących dachów gontowych i do wyno-
szenia cenniejszych rzeczy do piwnicy. Gorzał już
kościół Dominikanów u. Stolarska i południowa
połać Mariackiego rynku.. Nagle usłyszałam podniesio-
ny głos mojego kochanego i łagodnego zawsze ojca.
A łotry! a łajdaki! Niech ich Bóg skarze zaraz!
Złoczyńcy jemu tym wtórowały i inne głosy. Powodem
oburzenia była wiadomość, że pociąg z kilkoma
oddziałami sławnej straży pożarnej który wysłała
Warszawa, został przez Austryaków zatrzymany
w Granicy koło Krakowa i zawrócić musiał z powro-
tem!!! Niecny i podły ten postępek władzy
oburzył całą ludność do najwyższego stopnia.
Na plantach zakotłowało się, powiększył –

lament. Ludziska padali na kolana, wzywając na elektryaków pomsty Bożej...
Gdy wyszłam na podwórze, żar i odór spalenizny mnie dusił. Wysoko w powietrzu zaczęło fruwać jakby jakieś ptactwo czarne różnej wielkości, to się wznosiło, to wirowało, wreszcie opadało powoli na nasze podwórze. Rzuciliśmy się, zaciekawieni co to być może, do podnoszenia tajemniczych kawałków: był to spalony, brunatny papier, który się za dotknięciem rozsypywał. Niektóre większe arkusze trzymały się jeszcze [illegible], wydrukowane lub zapisane pięknem pismem gotyckiem z bardzo ozdobnemi winietami...
Powstał domysł, że bibljoteka Dominikańska się już pali! Któryś z mężczyzn zawołał: Ta

białe kruki" co mnie zadziwiło, gdyż kruka białego nigdy nie widziałam nawet na obrazku. a to cośmy z ziemi zbierali było czarne albo brunatne. Długie lata przechowywałam te szacowne szczątki, lepiej zachowane, lecz przy licznych przeprowadzkach moich zaginęły.
Biblioteka Dominikańska liczyła się do bardzo cennych i bogatych. Zarzucano zakonnikom, że ratując gorliwie swoje spiżarnie, z których wynoszono ogromne połcie słoniny i inne zapasy, zostawili na pastwę płomieni bezcenne skarby sławnej książnicy klasztornej. Nie wiem, czy to prawdą było, lecz zarzut ten przylgnął na zawsze do braci św. Dominika... Mam cześć do cudownego obrazu M. B. Różańcowej, podziwiam przepiękną ar[illegible]

rę kościoła, lecz Dominikanów, opasłych mnichów nie lubię... Być może, że animozya moja do tego zakonu pochodzi od legendy o połciach słoniny, zasłyszanej w wieku dziecięcym.
Pożar strawiwszy południową stronę Małego Rynku, wraz z kościołem i klasztorem OO. Dominikanów odwrócił od naszej dzielnicy niebezpieczeństwo. Ul. Grodzka z obydwóch stron stała się morzem ognia, aż po kościół św. Piotra. Mimo tych, coraz okropniejszych wieści nie można się było oddawać żalowi, lecz trzeba było brać się do ulżenia strasznej niedoli rozbitkom z tego niszczącego żywiołu; ponieważ wiatr silny przedtem wziął inny kierunek. Poschodzili z dachu panowie i służba, i zabrano się do

akcyi wyżywienia, choć cząstki pogorzelców. Rozbiegli się ludzie po zakup mięsa i innych artykułów żywności. Dobry lud z okolic Krakowa zost[illegible] skwapliwie wszelkich potrzeb i dużo odznaczył się ofiarnością. W kuchniach naszego domu całe dni gotowano co można... Panie i sługi zarówno były zajęte. Zapasawszy fartuchy skrobały kartofle, marchew i t.p. krajały mięso i dzieliły na porcye, po które zgłaszały się z płaczem matki i zgłodniałe dzieci a wobec lamentu i płaczu tylu nieszczęśliwych, pozbawionych dachu i mienia, w głowach się mieszało i ręce drżały z żalu i pośpiechu. — W piekarni mieszkaniu wuja Fleischkellera, umieszczono chorych. którymi

zajęła się p. Rudolfowa S. z Towarzystwa p. Holz-mann, wstydząca się swojego tchórzostwa z dnia pierwszego, która podwoiła gorliwość swoją w niesieniu pomocy cierpiącym. W tym okropnym czasie byliśmy wszyscy wykolejeni z zwykłego trybu życia; szkło, porcelana, wszelkie garnki i d. banki, wszystko było w ruchu od rana do nocy. Ja sama przez sztachety ogrodu wysuwałam garnuszki z mlekiem lub rosołem, po które przybiegały dzieci, a że dostać się do sztachet nie mogły, więc jedne drugie podsadzały do góry, który to sposób nie [illegible] okazywał się praktycznym.

W nieszczęsnym tym roku było dużo młodzieży

z Kongresówki w zakładach naukowych w Krakowie, więc gdy rozeszła się wieść o strasznym pożarze, wiele osób, zaniepokojonych losem swych dzieci lub krewnych, zjechało się na granicznych komorach, w nadziei, że wobec żywiołowej katastrofy Moskale nie będą robili trudności w przebyciu granicy bez paszportów. Jakże się biedni pomylili! Na Michałowicach siedział satrapa bez serca, głuchy na prośby i błagania płaczących matek, które patrzeć musiały na pożogę z góry Michałowickiej. Między temi była także siostra ojca mojego, Józefa Kucieńska z Miechowskiego, mająca syna i staruszkę matkę męża w Krakowie. Zrozpaczone kobiety na klęcz

kach błagały o pozwolenie p[illegible]jazdu, lecz nadaremnie. Wtedy [illegible] Kucieńska powzię[illegible] szczęśliwy zamiar. Za wsią Michałowice posiadała mały folwark, z[illegible] sołtystwem; tam niby dla odpoczynku zaprosiła wszystkie panie i doczek[illegible] się nocy, zorganizowała pieszą wypraw[illegible] w kilku mniejszych grupach, pod przewodnictwem przemytników, ludzi pewnych, o których wówczas nie było trudno. Przed północą wyr[illegible]no ku Krakowu bocznemi ścieżkami, kryjąc się chwilami po zaroślach i wąwozach i udało się wszystkim mimo ~~trudności~~ czujności moskiewskich obieszczyków dostać do Węgrzec, punktu zbornego na terenie austryjackim. Tu w jasności strasznej łuny szły

szosą, mimo zmęczenia przyspieszając kroku, pędzeni wewnętrznym niepokojem i żalem. Pamiętam, jak wczesnym rankiem przyszła do nas ciotka Kucieńska, w podartych trzewikach i wystrzępionej sukni, rozczochrana i brudna od częstego kładzenia się na ziemi i przysiadania pod krzakami przy pojawieniu się straży granicznej. Matka jej, [illegible], Dinot de Vigneul, mieszkająca przy Małym Rynku, vis-à-vis palącej się pałaci tegoż, wraz z wnukiem, gdzieś się zapodziała, więc znowu lament i płacz. Szczęście, że odnaleziono zgubę u kogoś znajomego w bezpiecznem schronieniu, a p. Dinot, oprócz popękanych z żaru szyb, znalazła za powrotem mieszkanie w porządku, co zawdzięczała opiece właściciela domu. [illegible]

tego Kowalikowskiego
Przeszło 2 tygodnie dymiły zgliszcza mieszczańskiego miasta i z wspaniałych świątyń. Ogień przenosił się czasami na oddalone dzielnice, jak n.p. Kleparz i inne, co dało powód do przypuszczenia, iż jakaś zbrodnicza ręka tu działała... Lecz te pożary gaszono prędko, ludzie już ochłonęli trochę i nabrali wprawy w zapobieganiu szerzenia się ognia. Do chwili obecnej (mam lat 75) pamiętam wrażenie, którego doznałam, wyszedłszy z matką po 2 tygodniach z domu. Stanęłyśmy u wylotu ul: Krakowskiej w Rynku. Okropny widok przedstawił się oczom naszym. Ul: Grodzka zawalona gruzem, jeszcze miejscami dymiącym. Poszłyśmy ul: Mikołajską, przez planty

w stronę kościoła Dominikanów, gdzie w całej grozie przedstawiły się nam zwęglone, nagie mury przepięknego kościoła, klasztoru i biblioteki. Ludzie klękali, zawodząc z żalu, inni, milcząc jakimś tępym wzrokiem, ogarniali resztki swojego mienia. Zwróciłyśmy się tą samą drogą na planty od strony ul: Zwierzynieckiej. I tu żałosny widok! Wypalony w środku kościół Franciszkanów i zgliszcza pałacu Biskupiego! Nagie pnie kasztanowych drzew sterczały jeszcze smutniej... Z sercem ściśniętym powróciłyśmy do domu, gdzie jeszcze po ostatnich tygodniach zamieszania był nieład wprawdzie, lecz bez większej szkody. Ja, że byłam trochę beksą z natury, p...

kałam owocnie, a ojciec wymawiał matce, że mnie na tę smutną wyprawę ze sobą wzięła. Ale jak już na początku moich wspomnień dziecinnych zapisałam, matka moja trzymała się zasady, aby dzieci nie uchylać od widoku nędzy ludzkiej. „Niech się wypłacze" orzekła, i poratuje nieszczęśliwych".

Wróciliśmy pomału do porządku i spokojnego trybu życia. Powrócili też z zagranicy wujostwo Steinkellerowie, posłyszawszy o katastrofie. Opowiadaniom nie było końca, zwłaszcza wieczorami, pory których, ja z Henrykiem S. broniąc się Morfeuszowi, kipieliśmy po kątach. – Wreszcie

cie dzielna p. Rudolfowa i p. Holzman wyjechały i nigdy ich już więcej nie widziałam...!

---

r. 1851.

W tym roku zaszła pewna zmiana w domu naszym: Wuj Steinkeller kupił dobra Samoklęski w Jasielskiem, i postanowił wynająć środkowy korpus pałacu na kasyno oficerskie, na który to cały wielki budynek bardzo się nadawał, daleko więcej niż na prywatne mieszkanie. Od czasu, jak pałac ten wynajęto, ogromna sala nie widziała balu. Ciotka Maria, przywiązana do swej warszawskiej rezydencyi, gościem tylko

w Krakowie bywała. Wujowi wiecznie będącemu w ruchu, wystarczał pawilon od ul: św. Tomasza, jako pied à terre, nam zaś bardzo dogodnem było zajęcie pawilonu z oknami na południe, pełnego słońca, z wyjściem na ogród. Żal nam było pięknej oranżeryi, wywiezionej do innych dóbr wuja: do Żarek w Częstochowskiem, no i ciszy i zupełnej swobody, jaką cieszyliśmy się od lat kilku. Zachowaliśmy jedno miejsce podwórze przy ogrodzie z bramą od ul: św. Scholastyki (dziś św. Marka) muszę oddać wojskowości sprawiedliwość, że zachowała się cicho i zupełnie nie dawała nam się w znaki. W dawnej oranżeryi grywała czasem najlepsza w Europie muzyka wojskowa pułku [illegible], która po tryumfach

odniesionych na wystawie paryskiej; cała padła pod Sadową w r. 1866.

Rozkład nowego mieszkania był prawie taki sam, jak naszego dawnego, urządziliśmy się też dosyć prędko, a zatkawszy ucho na dochodzące gwary z [illegible]owej restauracji poprzez okno spiżarni, wychodzące na podwórze naszej, oswoiliśmy się prędko z nową sytuacją.

Z [illegible] ja pierwsza przyszłam do okazji z następującego powodu: Wtem w spiżarni, nie wiem czy z wypadku czy umyślnie, brakowało jednej szyby; wstawiono ten brak deseczką w ¾ wielkości, zostawiając ¼ wolną, zapewne dla przewiewu. Otóż pewnego dnia, będąc w spiżarni, usłyszałam boleśne wycie i skomlenie psa; i wybiegłszy na podwórze, spostrze-

głam z przerażeniem psa, wydobywającego się ciasnym otworem ze spiżarni z rozpaczliwym wysiłkiem. Biedak jakiś bezdomny, zwabiony zapewne zapachem mięsa, dostał się do spiżarni łatwo, ale bardzo najedzony, nie mógł się przecisnąć z powrotem, kiedy go zobaczył kucharz Niemiec, tłukł drewnem w tył. Bez namysłu przyskoczyłam do okna i wyrwałam deskę, uwalniając biedną psinę poruszającą się na 3 nogach ze skowytem do bramy i na ulicę. Rozzłoszczony kucharz beształ mnie po niemiecku, czego do serca nie brałam (nie znając jeszcze języka niemieckiego). Przy tej akcji miłosierdzia poraniłam sobie ręce gwoździami i nabiłam drzazgami. Próbowałam obmyć rany przy studni, obcierając je fartuszkiem, chcąc ukryć katastrofę przed

matkę, ale daremnie, bo i sukienka zdradziła kowarą wyprawę. Operację wyciągania doraźną wykonała matka, ręce wygoiły się, a nie po[illegible] Już jak się zakończył zatarg o zjedzone przez psa surowe kotlety..! Kufcik umieszczono w naj[illegible] kwaterze d kura i nastała cisza w sąsiedztwie:

Właścicielem doskonałej restauracyi był Wiedeńczyk, „Bärenreiter", drobnostko z krzywemi nogami; miał bardzo ładną i dobrą żonę, Krakowiankę, lecz z niemieckiej rodziny pochodzącą. Czystość w kuchni i każdym zakątku domu i składu była wzorowa. Potrawy właściwie wiedeńskie, jak wszelkie smażoności, mianowicie sznycle cielęce, kurczęta

rozbratle i legumin dwoidziowe, do dnia, kiedy to piszę ślinkę mi w ustach zbiera... Oprócz w Wiedniu nigdzie nie spotkałam się z tak smacznym mięsem, ani sama nie umiałam doprowadzić tego kunsztu do takiej doskonałości. Korzystaliśmy też niezrazu z tej wybornej a tak bliskiej restauracyi bo i taniość była również wielka. Nie znając języka niemieckiego robiliśmy czasem pomyłki. I tak n.p. wyczytawszy w karcie że będzie na obiad kuropatwa „Ungarisches Rebhuhn", zadysponowała moja matka w domowej kuchni zupę i leguminę a pieczyste zamówiliśmy u p. Bräunerstera. Jakiegoż doznaliśmy zawodu gdy nam po zupie, zamiast pieczystego przyniesiono – galaretę z nóżek. Przy-

-smać, należy że była i ładna i bardzo smaczna,,
więc, uśmiechnąwszy się z pomyłki, zwróciliśmy tę
pierwszą potrawę ze smakiem.

Kruk Kuba.

W pobliskim nam hotelu p. Kaspra Polle'a przy pl. św. Ducha był od lat wielu chowany kruk, Kuba. Był to ptak mądrala niesłada; mimo psot, jakie czasem wyrządzał, ulubieniec domowników, części najbliższej dzielnicy a nawet przejezdnych gości. Za punkt obserwacyjny wszystkich czynności ludzkich obrał sobie Kuba raz na zawsze siódmy szczebel drabiny w podwórzu, opartej o krawędź dachu w pobliżu okna [illegible]

kuchni. Z tego obserwatoryum śledził uważnie, co się w podwórzu i kuchni hotelu działo. Nic baczności mądrali nie uszło. Naokoło podwórza były dawniej galerye t. zw. ganki, na które wychodziły okna a nawet i niektóre drzwi gościnnych pokoi, zajmowanych zwykle przez tak zwanych „Reisendrów" handlowych, którzy sobie ten hotel za kwaterę wybrali zawsze do niego powracając. Kuba miał swoje sympatye i antypatye; żydów i Niemców nie lubił i psoty im wyprawiał. Stary filut miał skrzydła przycięte, mógł więc tylko podlatywać nie zbyt wysoko. Pocieszniejszy był, kiedy na progu kogoś mu sympatycznego, począł zataczać koło tańcząc, podskakując i podlatując aż naprzemian. Lubił ra-

wiedzał gości hotelowych w ich numerach, czego mu nie wzbraniano, gdyż zachowywał się zawsze przyzwoicie... Zrócznie, poważnie po gankach pod oknami dzwońców, nie dał się nigdy przywabić ani pieszczotliwem słowem ani przysmakiem, pozornie odpowiadał na karesy jakiemś złowrogiem krakaniem... W naszym domu i ogrodzie Kuba był prawie codziennym gościem, żadnej nie wyrządzał nam szkody, lecz podrodze obok ul. św. Scholastyki wstąpił do pracowni krawieckiej p. Batuckiego przez niskie okno; chłopcy terminatorzy droczyli się z ptakiem, wtedy Kuba porywał wszystko co się dało i pomykał wnet z zdobyczą do naszego ogrodu, gdzie szedł pierwszym z brzegu krzakiem [illegible]

zrobił sobie skład przeróżnych drobnostek krawieckich, jako to guzików, sprzączek od kamizelek i t.p. po które to przedmioty przychodził do nas Michałek Bałucki, brzydki, ospowaty i zezowaty student, kolega mojego starszego brata z początkowej szkoły.
Żona kucharza z restauracyi Sänzeitera zwyczajem niemieckim wynosiła swoje [illegible], kładąc je na niskich ścianeczkach naszego ogrodu. Zwracaliśmy uwagę na niewłaściwość tę, gdyż do [illegible] należało największe środkowe podwórze, gdzie było miejsca i słońca dużo, ale upórna Niemka nie ustępowała. Któregoś dnia, a był to dzień upalny, nasza służąca zauważyła stojąc w oknie że śnieg pada. Przecu-

wiście spostrzegliśmy gęste białe płatki unoszą-
ce się w powietrzu ponad korzeniami w ogrodzie.
Wyszliśmy więc zbadać przyczynę niezwykłego
zjawiska. I cóż zastaliśmy? Oto Kuba poma-
lowany czerwoną barwą bordo, wydzierał potężnym
dzióbkiem już z drugiej pierzyny ogromną
dziurę, a podlatując i wydreptując taneczne
koło, wyrzucał istną fontannę pierza, pocze-
przystawał chwilowo i przekręcając głowę na
boki, obserwował swoje dzieło zniszczenia!
Spędziliśmy ptaka i wygnali za bramę, ra-
tując go przed zemstą ciotunki, wielce rozzłosz-
czonej, która zapomniała szkodnika, poczuła i
zdymiała się że przy pierwszej sposobności

„dem verflixten Rabenvieh" łeb ukręci. Pan Poller dał kucharowej odszkodowanie, a ja, niedowierzając obietnicy trzymałam straż w pobliżu bramy, odpędzając nie bez bólu serca ulubionego Kubę.

Minęło dni kilka, echa katastrofy pierzynowej w kuchniach cichnąć poczęły, kiedy Kuba, widocznie mylnie pojąwszy najlepsze względem niego intencye, wśliznął się cichaczem do ogrodu i zdradziecko zaszedłszy mnie z tyłu, ćwieknął mnie mocno w łydkę i czmychnął chyżo za bramę. Rana była duża, bardzo bolesna i krwawa; w zastępstwie nieobecnego ojca matka zaopatrzyła i obandażowała łydkę. Dobrze pamiętam, że wymyślanie domowników i służby

na niewdzięcznego ptaka, więcej mnie bolało niż
głęboka rana. Wszelkie urazy do Kuby same
zmieniły się rychło w żal prawdziwy, gdy się rozeszła
smutna wieść, że p. Poller, zniecierpliwiony
ostatniemi wybrykami kruka, darował go kupco-
wi do Wrocławia, dokąd kilkoletni faworyt
wszystkich, zamknięty w klatce, koleją został
wywieziony. Wzięcie Kuby w niewolę przez Niemca,
której to nacyi kruk tak nie cierpiał, powiększa-
ło tragizmu sytuacyi. Opłakałam szczerze utratę
mojego towarzysza, tem szczerzej, że mnie trapi-
ło przypuszczenie, iż awantura z moją łydką
była tą kroplą przepełniającą miarę przeciw Kuby
i spowodowała wydalenie ptaka długoletniego
mieszkańca domu p.p. Pollerów. — W 9 dni po wy-

wiezieniu Żuby, kiedy stróż hotelowy otwo-
nył bramę, ujrzał kruka, czekającego widocznie
na tę chwilę. Zdumienie stróża było niemałe
a tożsamość osoby potwierdziła okoliczność, że
ptak natychmiast zajął zwykłe swoje stano-
wisko na dużym szczeblu drabiny przy kuchni.
Na powitanie zbiegła się cała służba hotelowa.
brano ptaka na ręce i zauważono, że bardzo
stracił na wadze. Dobra p. Tollerowa, wzruszona
powrotem kilkoletniego domownika, sprawiła
mu ucztę sutą, oświadczając, że za nic w świe-
cie ptaka już nie wyda nikomu. P. Toller te-
legraficznie odniósł się do wrocławskiego kupca
w tej sprawie, skąd nadeszła wiadomość, że Żu-
ba nazajutrz po przyjeździe, skorzystał z danej

mu wolności i umknął. W 8 dniach, nisko podskakując, pozbył przestrzeni 40 milową przeszło. W całej naszej dzielnicy powrót mądrego Truby wzbił sensacyę, nawet kucharzowa Niemka nabrała szacunku „für den gescheidten Kerl". Mojej radości opisywać nie będę... Dumna byłam na poczciwego przyjaciela wczesnej młodości, mądralę, antysemitę, wroga Niemców i patryotę rodu ptasiego.

Pani Zalewska.

W domu moich rodziców bywało wiele pań starszych a nawet bardzo wiekowych. Były to bliższe lub dalsze krewne albo znajome, postaci typowe w całem słowa tego znaczeniu. Jedną z takich, którą najlepiej pamiętam, gdyż żyła lat blisko 90, była sędziwa pani Marya Zalewska, wdowa po urzędniku z czasów Rzeczypospolitej krakowskiej. Wiedenka rodem, w 16 roku życia wyszła za mąż, przylgnęła całą duszą do nowej ojczyzny i polskich stosunków. Zażyłość łączyła tę poczciwą kobietę jeszcze z domem mojego dziadka Mohra, zatem aż 3 pokolenia na-

-szej rodziny ciężyły się jej przyjaźnią. W moiem dalszem życiu nie spotkałam się nigdy już z postacią tak piękną staruszki. Umysł zachowała żywy, wesołość z lekką przymieszką rubaszności. Choć dobroci nieprzebranej była skarbnicą, umiała wypowiedzieć gdzie trzeba było i słowa prawdy. Kochali i szanowali ją starsi i młodsi a my dzieci przepadaliśmy za nią. Piękna i pełna uroku była to staruszka: wzrostu średniego, harmonijnej budowy ciała, tuszy mierniej. Twarz o drobnych, bardzo regularnych rysach i ślicznym profilu zdobiła cera świeża i czerstwa, oczy niebieskie o figlarnym wyrazie. Nad czołem nosiła włosy srebrne gładko uczesane, przy skroni po 2 loczki gorzebykami szyldkretowemi zapięte, czepeczek

zawsze śnieżnej białości, osnuty koło twarzy piękną, misterną koronką lub tiulową riuszą, związany pod brodą takiemiż szarfkami w kokardę. W tej oprawie wyglądała jej ładna twarz jakby z cukru lub saskiej porcelany. Kołnierzyk haftowany lub koronkowy na szyi, suknia ze stanikiem, u rękawów zawsze odpowiednie do kołnierza angażanty, z których wydawały się drobne, pulchne, nadzwyczaj piękne rączki, zajęte robieniem ciemniuchnej pończoszki. Zgrabny, jedwabny ridikiul z pachnącą chusteczką batystową dopełniał toaletę skromną, stosowną do sędziwego wieku a tak pełną smaku.

Owdowiawszy wcześnie, p. Zalewska zajęła w domu p. A. D[illegible]ańskiego przy ul: Szczepańskiej (dziś l. 7)

od podwórza 2 pokoje z kuchnią, gdzie lat kilka-
dziesiąt, do śmierci w r. 1856 przemieszkała. Skromna
na emeryturze przy jakimś równie skromnym
kapitaliku, przy rządności wystarczała jej i słu-
dze, wiernej Teklusi na utrzymanie bardzo przyzwo-
ite w owych czasach wielkiej taniości. Staruszka
wielce była towarzyska. Mnóstwo miała znajo-
mości. Ogólnie lubiana i wszędzie pożądana.
codzień prawie z wszystkimi chodziła, a że obiado-
wanie samotne – jak mówiła – psuło jej apetyt,
więc radziła sobie w sposób taki, że n. p. o godz. 1½
przed południem z kościoła wprost wyruszała do
kogoś ze znajomych, a o godzinie w danym
domu na obiadową przyjętej kazała Teklusi

-swój obiad przynosić w menażeczkach, nie chcąc -
jak mówiła - być pieczeniarką, patrzącą gdzie
się z komina kurzy. Przysiadłszy, już na wstępie
zapowiadała, że przychodzi dziś „z obiadkiem."
W te składane obiady wnosiła dużo humoru,
mianowicie krytyka - zarówno obudwóch obiadów
dzielenie się i zamiana niektórych potraw wy-
wotywały dużo wesołości u nas dzieci. Teklusia,
była mistrzynią w sztuce kulinarnej, więc i do-
mowe kucharki sadziły się na to aby Teklusi
dorównać. - Dłuższe przedobiednie wizytki pań
w owych czasach nie robiły; gospodyni domu niebieskie-
go: mogła być pewną że wierne, obowiązkowe i
przywiązane sługi chętnie i punktualnie wywiążą

się z osadzi swoich, choć pani domu na pięty im wchodzić nie będzie. Ogólny dozór i praktyczne dyspozycje pani domu wystarczały, aby machina domowa funkcjonowała należycie. Rozumie się, że w dni większej pracy, jak przed świętami, większem porządkowaniem w domu, lub przy sporządzaniu zasobów spiżarnianych jesienią, panie przypasawszy fartuchy pracowały rzetelnie, wraz ze służbą. Dziś z uczuciem rzewności wspominam nasze zacne sługi, ich wieloletnią wierną służbę i przywiązanie do rodziny, co też ocenić umieli i starość ich osłodzić, gdyż warte były uznania i opieki.

Kochana p. Zalewska miała, mimo licznych przy-

miotów, jedną wadę: była szalenie uparta.
Z tak, gdy czas przeznaczony na odwiedziny minął, żadna siła nie zdołała zatrzymać jej dłużej. Nie pomagały żadne prośby i zachęty - Staniszka ze słowami: pójdę, pójdę, pójdę! wyrywała się zawsze. Pamiętam, jak razu pewnego matka moja rada była zatrzymać staruszkę na obiad. Nie podobieństwa. Wreszcie już w przedpokoju matka rzecze: kochana pani, mamy dziś indyczkę na obiad, młodą, tłustą.... Staniszka zawahała się trochę, lecz zaraz odrzekła: eko, to przyślijcie mi kawałek „od piersy" (od piersi) cośmy też uskutecznili. - Innym razem bracia moi i [illegible] przytrzymali staruszkę za

mantylę – natychmiast odpięła pod szyją haftki i pomknęła ku bramie, zostawiając mantylę w rękach chłopców, którzy doganiać musieli p. Kalewską już na ulicy. Za to nie wyrządzane, niewinne nasze psikusy, stanowczo, nie żywiła do nas urazy, jakoteż i my nigdy nie dąsaliśmy się na nią za słowa przygany. – Pewnego dnia przedpołudniem usiadłam była do fortepianu dla przygotowania się do lekcji z p. Guntkiewiczem, starym, zatabaczonym, ale bardzo dobrym muzykiem. Wtem przyszła p. Kalewska i w sąsiednim pokoju z matką usiadła. Wyszłam ją przywitać i powróciłam do fortepianu. Miałam do przegrania kawałek p. t.: „Bitwa pod Ostrołęką," kompozytora

nie pamiętam. Zaczęłam od pobudki do walki,
naśladującej trąbki, potem crescendo następowało
naśladujące szczęk broni — udało mi się dosyć
i gładko. Wreszcie nastąpiło forte i fortissimo
naśladujące huk armat, wykonane przełożeniem
prawej ręki nad lewą i uderzeniem w basie (była
to moja duma) kiedy w tej właśnie chwili ukaza-
ła się p. Zalewska w drzwiach salonu, wołając:
ej ty smarkulo jedna! będziesz mi tu huki wy-
prawiać, kiedy ja z matką rozmawiam — zaraz
przestań, bo tego nie ścierpię! Z pokornem „prze-
praszam" wysunęłam się jak zmyta do ogrodu.
Miałam wówczas lat 8, nie byłam zarozumiałą
na mój rzeczywisty talent muzyczny, ale bolało

mnie to, że niewinnym hukiem zamiast do kucy-łam kochanej p. Zalewskiej. Nauczyciel mój serdecznie się uśmiał z mego niepowodzenia a pochwalił mnie właśnie za czystość w uderzeniu w basie i to że ani jednego strzału nie „spudłowałam."

P. Zalewska zapomniała rodowitego swego języka, czasem [illegible], jak ją coś niemile poruszyło odzywała się w dyalekcie wiedeńskim. Tak np. o kobiecie głupiej mówiła: „schöne Kuh"! albo gdy się wyrażała o czems bezwartościowem, niedbałem, mówiła: To jest „lauter Mist." Z pamiątek po tej zacnej st[illegible]nie posiadam piękny zegar staroniemiecki Gehtbuscha, o pięknym, donośnym głosie i wewnie

niczem nie pohamowanej jak i jego dawna właś-
cicielka, noszący do dziś jej nazwisko i kwadrato-
wy, nieobcięty dukat węgierski z r. 1617.
Przechowuję te pamiątki ze czcią, niemą jednej
z najsympatyczniejszych osób, jakie w życiu spot-
kałam.
P. Zalewska po obiedzie lubiła palić fajkę na
długim cybuchu. Fajkę taką posiadał mój ojciec,
wyrobu petersburskiego, w pięknej szkatułce, skła-
danej z 3 części hebanowych, spojonych srebrem.
Bracia moi, o ile byli w domu, ubiegali się o
nałożenie fajki wonnym tytoniem a ja czeka-
łam z papierowym fidibusem aby starannie
ogniem posłużyć. Inną zapałką nigdy fajeczki
p. Z. zapalić nie chciała. Traktowaliśmy ten

dzieców. Sensacyę wywołało pojawienie się ślicznych dzieciaków w zgrabnych, obcisłych, węgierskich ubrankach, huzarskich, czupurnych Magyarów. P. Vay była uczennicą sióstr Augustyanek, którym zaprezentowała swoją dorodną trójkę. Siostry powzięły zamiar uczczenia dawnej elewki i zaprosiły ją wraz z dziećmi, jakoteż i kółko jej znajomych na podwieczorek, w której to fecie i ja z kuzynkami Machówniami udział wzięłam. Zabawa była urocza. Węgierscy goście poprosili do tańca, czardasza, którego zagrała p. Vay. Jak wiadomo trudny to taniec. Trzeba było widzieć tych malców, obracających ledwie mogące im nastarczyć dziewczątka, jak wrzeciona, które drygały jak mogły. Zapał i ochota udzieliły się całemu gro-

nadzieniem; wniesiono wyborne pączki, których całe góry znikały z półmisków... Po odpoczynku zaśpiewali Węgrzy pieśni o Kossucie i patryotyczne pieśni Petöfiego; grube mury klasztorne zapewniały swobodę, że żadne ucho austryackie podsłuchiwać nie mogło... Wreszcie ja zastąpiłam p. Vay przy fortepianie i zagrałam krakowiaka. Chłopcy zaraz skoczyli do panienek i uszykowali się w pary. Obtańczywszy w koło, stawali kolejno przed muzyką i śpiewali dziarskie krakowiaki, które nas, mimo lekkiego, obcego akcentu, tak rozentuzyazmowały, że nawet poczciwe S. S. Augustyanki puściły się w tany tak ochoczo, że ich welony w powietrzu fruwały. Rozweseleni, uraczeni winami klasztornemi przysmakami, podziękowawszy

serdecznie gościnnym S.S. Augustyankom, powróciliśmy do domu stryjostwa Karolów, gdzie wesoło omawialiśmy cały wieczór odniesione miłe wrażenia klasztornej zabawy.

Z opowiadań ś.p. ojca.

Sławny artysta-malarz Michał Stachowicz miał żonę sekutnicę, która mu życie zatruwała tak-więc dziwnego, że unikając piekła domowego, chętnie przebywał w gronie kolegów i przyjaciół, co mocno rozjątrzało jego złośliwą magnifikę... Pewnego wieczora Stachowicz zabawiwszy dłużej na jakiemś imieninowem zebraniu, powrócił nad ranem do domu. Ksantypa, chcąc ukarać męża

wpadła na iście szatański pomysł. Oto pogrążonemu w twardym śnie przylepiła na obu oczach wizykatorye. Ból okropny zbudził biedaka, nieszczęśliwy człowiek nic nie widzi: popadł w rozpacz. Sługa rozżalona stanem swego dobrego pana, przywołała doktora a ten wezwał okulistę. Powieki wżarte strasznie i zagniecenie oczu grozi utratą wzroku. Potworna baba popełniła czyn kryminalny, lecz Stachowicz wyprosił u doktorów aby sprawy nie oddawali na drogę sądową. Kuracya trwała bardzo długo, lecz dzięki zabiegom troskliwym pacyent wzrok odzyskał. Otóż lepszą była Ksantypa, wylewająca na głowę, wprawdzie mądrą ale wielce brzydką Sokratesa, jakiś płyn podejrzany....

Wieczór u p. p. Skoblów.

Rodzice moi zaproszeni byli kiedyś na herbatę do rektorostwa Skoblów. Fryderyk Skobel był profesorem Uniw. Jag. więc i grono osób bywających w domu jego do najkulturalniejszych się liczyło. Rozmowa była ożywiona i miły panował nastrój, kiedy do fortepianu zasiadła panienka młoda, córka senatora Homińskiego i bardzo cienkim i drżącym głosikiem zaśpiewała ulubioną wówczas piosenkę do słów Stanisława Chołoniewskiego p.t. „Gwiazdka". P. Homińska miała mowę zająkliwą i zamiast r i ł wymawiała u. Niefortunną tę produkcję zgromadzeni grzeczni goście nagrodzili zdawkowym aplauzem. Mniemane laury śpiewackie podrażniły p. Komarową, żonę

adwokata Herkulana Komara, która zapragnęła widocznie aby i jej jedynaczka z czemś się popisać mogła. czy to nie owo podniesionym głosem rzekła p. K.: Państwo pozwolą aby teraz córka moja z p. Flo-mińską porozmawiały po angielsku. Cisza zaległa salon.... a panny wszystkim ruchem wysunąwszy dwa krzesła na środek, zasiadły i rozpoczęły angielski dyalog. Języka tego, dziś już więcej używanego nikt z towarzystwa nie posiadał; znudzeni słuchacze poczęli chrząkać i trumić się wanie. Po półgodzinnej produkcyi, słuchacze z prawdziwą ulgą nagrodzili panienki gromkiem „brawo." P. Komarowa miana była z niemałej dozy ekscentryczności, dziwiono się natomiast p. senatorowej Woniúskiej; osobie rozumnej, zrażającej wielce

na dobry ton i bardzo taktownej, że pozwoliła córce swojej tak się ośmieszyć. — Komiczne to zdarzenie obiegło wnet całe miasto a złośliwe języki opowiadały, że panny wyrecytowały cały rozdział angielskich rozmówek.... czemu ja dziś co do p. Zofii Kosińskiej zaprzeczyć muszę; znałam tę zacną i jak na owe czasy, rzadko wykształconą osobę, jako i sumienną nauczycielkę języków obcych.

Uwaga! Dziś jeszcze pojąć nie mogę dlaczego bezpretensyonalna, ładna w słowie i tonie piosnka „Gwiazdka" tak u nas ośmieszoną została.

O ileż ją wyżej stawiam nad obecne operetkowe walce i kuplety, wyśpiewywane do znudzenia lub wybębniane na fortepianie przez dzisiej-

szą młodzież

Senator M.

Pan senator M. człowiek już niemłody, bardzo małego wzrostu i brzydki, a przytem złośnik i śledziennik, ożenił się z ładną panną, która go o całą głowę wzrostem przewyższała. Pannę bez posagu wydali rodzice próżni tytułów i chciwi dostatków. Stadło niedobrane, szczęśliwem być nie mogło, to też młoda senatorowa posmutniała i poczęła na zdrowiu zapadać. Dnia pewnego ojciec mój wezwany został do chorej pani M. Leżała w łóżku, skarżąc się na dotkliwy ból

skóry na głowie; gdy ojciec chciał zbadać porzycę, pani M. nie pozwoliła dotknąć się głowy i w wielkie popadła rozdrażnienie. Ojciec przepisał na razie jakiś środek uspokajający, obiecując nazajutrz powtórzyć wizytę. Dzieli następny takie sprawy nie wyjaśnił, bo ż skóry i obręcz był, - jak utrzymywała chora - jeszcze się wznowił, - zdenerwowanie trwało... Ojciec mój nigdy dotąd z podobnym objawem się nie spotkał a rozdrażnienie chorej zdało mu się mieć głębszą, moralną przyczynę... Pokojowa, która ojca ze światłem sprowadzała ze schodów, wyszła z nim na ulicę i z płaczem rzekła: „Panie doktorze, widzę że moja nieszczęśliwa

pani prawdziwego powodu swojej choroby nie wymawia, więc ja opowiem, bo trzeba koniecznie słowem zaradzić... Oto p. senator wpadłszy w złość o byle co, okręciwszy sobie koło ręki piękne warkocze żony, przewłókł ją tam i napowrót po wszystkich pokojach i to nie po raz pierwszy! Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie ojciec odniósł z tej rewelacyi. Oburzony srogością męża nieszczęśliwej ofiary, postanowił rozmówić się z pacyentką naradjutor otwarcie. Pani M. dowiedziawszy się, że jej tajemnica wyszła na jaw, z płaczem potwierdziła słowa przywiązanej swej sługi. „Jak pani młoda, silna i zdrowa, może pozwolić na takie tyranizowanie się męża?"

rzekł mój ojciec. „Cóż ja nieszczęśliwa mam czynić?" „To powiem pani krótko: broń się pani"... radził mój ojciec.

Mniej więcej w miesiąc po tej awanturze, wezwano ojca do domu państwa M. celem tym razem, z wielką radością pokojowej - do pana senatora...

Panna nie poszła w las; odtąd zapanował w domu spokój, choć ciepła w tem pożyciu być nie mogło. - W lat kilka umarł pan M. Nie żałowany przez nikogo. Ładna wdowa zaś wyszła za brata pierwszego męża i podobno lepiej trafiła.

Przygoda stryja Tomasza.

Najmłodszy brat mojego ojca Tomasz, był dzieckiem nadzwyczajnie urodziwem i gdzie się pojawił wywoływał zachwyt i wykrzykniki podziwu. W r. 1818 pięcioletni chłopczyna przechodził Tomcio z 15letnią niańką przez ul: Grodzką, kiedy nadjechała w pięknym powozie strojna dama a spostrzegłszy dziecko tak niezwykłej urody, kazała stangretowi stanąć, i wezwała w obcej mowie mocno gestykulując, dziewczynę aby wraz z chłopczykiem do powozu wsiadła. Głupiutka dziewczyna, olśniona elegancyą damy, bez namysłu zajęła miejsce w powozie, czemu i Tomuś nie protestował, rad że się przejedzie. Ruszono więc

ku wspólnemu zadowoleniu, na dalszą przejażdżkę za miasto. Dama, zachwycona żywością malca, obsypywała go karesami, a w powrotnej drodze nakupiła dla niego zabawek, a w cukierni mnóstwo słodyczy. Zajechano przed hotel Knotza (dziś Saski) gdzie dama, przyjęta przez służbę z wielkim szacunkiem i atencyą, zamieszkiwała. Była to światowej sławy śpiewaczka włoska, słynna Catalani, koncertująca wówczas w Krakowie. Odwiedzający śpiewaczkę goście bawili się konceptami Tomcia, który rozbawiony i uraczony słodyczami czuł się jak w niebie, jak również jego niemądra niańka. Lekkomyślna Włoszka nie pomyślała

nawet jakiego niepokoju nabawiła, wzięła dzieciaka dla własnej zabawy. Dopiero wieczorem odesłała Trucia i dziewczynkę suto obdarowaną, powozem do domu, gdzie od południa wszystko co żyło rozbiegło się na poszukiwanie zbiegów, przewidując jakiś nieszczęśliwy przypadek.... Głupiej niańce należała się kara, ale radość z pojawienia się Trucia zdrowego i rozweselonego wrażeniami dnia, złagodziła słuszne oburzenie, lecz opieka nad dzieckiem odjęta jej została.

Hotel Pollera

Opisawszy jedno zdarzenie w hotelu Pollera, przypomniałam sobie jeszcze jeden fakt tam zaszły. Ludzie dzisiejszej doby i kulturalnych potrzeb nie mają pojęcia o niewygodach, jakie znosić musieli podróżni dawniej nawet w lepszych hotelach, do których zaliczyć można było wspomniany właśnie. Pewnego dnia gość, cudzoziemiec, nie mogąc dodzwonić się ani dowołać służby czy to z powodu zepsucia dzwonka, czy z powodu opieszałości numerowego, wyszedł na ganek i palnął z pistoletu! Gdy zbiegli się zaalarmowani mieszkańcy rzekł cudzoziemiec

najspokojniej: „Bitte um Wasser"

Rodzina Jenny.

Pierwszy browar piwa bawarskiego w Krakowie założył był niemiecki Szwajcar Jenny w latach 30. Do tego czasu warzono tylko lekkie piwo, smaczne i zdrowe w browarze Frauera na Kazimierzu, a na Kleparzu niejaki Wytuszkiewicz wyrabiał piwo białe, owsiane, ogromnie musujące, sprzedawane w kamionkach dobrze zakorkowanych, strzelające za otwarciem jak szampan. Ludowy dowcip nazwał ten bardzo orzeźwiający trunek „siuśkami Wytuszkiewicza." (za trywialność wyrazu przepra...

stanu jako wieczna kucharka! Siedząca te ga-
lumki długo jeszcze wyrabiano i ja w dzieciń-
stwie używałem tego niezwykłego układu z upo-
dobaniem.

Pan Jenny, poważny kupiec osiadł z rodziną
w Krakowie, zająwszy wtedy parterowy domek
przy ul. Lubicz, vis-à-vis ogrodu Strzeleckiego,
zakupił znaczny obszar gruntu, rozciągający się
za domkiem i wystawił dużą browar. Powiodło to
się temu cudzoziemcowi i interes szedł dobrze;
piwo browarskie rychło wyparło dawne miejscowe
piwka.

P. Jenny miał żonę i troje dzieci: 2 synów i cór-
kę. Pani Jenny była kobietą niepozorną, lecz

bardzo wykształconą niewiastą, jak o niej mówio-
no „bas bleu"; posiadała wybornie kilka języków
i w literaturze oczytana była gruntownie. P. Jenny
przyjmowali do słowników krakowskich, lecz po polsku
ich nauczyli się dobrze mówić. Syn starszy
Eugeniusz osiadł w Petersburgu, gdzie jako przemy-
słowiec dużej dorobił się fortuny. Młodszy Henryk
po ciężkim zapaleniu mózgu stał się zupełnym
idyotą; nie mówił od dziecka, uśmiechał się do oto-
czenia, zwłaszcza do dzieci, które lubił bardzo.
Życie schodziło biedakowi na przesiadywaniu przed
domem swoim na ławce pod drzewami ul. Ru-
skiej. Znała go cała dzielnica, a dzieci zmawia-
ły się wokoło niego. Panna Jenny, ładna i dowcipna
[illegible], niebrzydka starannie wychowana, zako-

chała się w nieznanym Johnie, bardzo przystoj-nym o semickim typie, subiekcie w handlu bławatnym Zabrzeckiego. Rodzice niechętnie patrzyli na ten związek ukochanej jedynaczki. John zrobił przy tym układ; spodziewał się kilkudziesięciu tysięcy złp. posagu. Zakręciło mu się w głowie, kiedy w dniu ślubu dowiedział się od p. Jemmy, że córka dostaje okrągły milion złp. jako wiano. Była to suma na owe czasy znaczna i wieść ta sprawiła w mieście sensację, gdyż po skromnym trybie życia p.p. Jemmych nikt się nie spodziewał u nich tak sporego grosza. Porzucił John kupiectwo i zajął miejsce w browarze, którego po śmierci teścia stał się właścicielem; rozszerzył browar, wybudował piękny dom

mieszkaliśmy na tyłach tegoż i zarobił ogromnie. Ładna to była rezydencja. — Dobrzynicka p. Lohncowa śliczna, cieszyła się powszechną; miała 5 synów i córkę Elizę.

Nie pomnę już kiedy poznała się moja ciotka Karolina, najstarsza siostra ojca mojego z p. Jenny, w mojej pamięci już sędziwą osobą; lubiły się te panie bardzo i odwiedzały wzajemnie. Sędziwa p. Jenny zawsze serdeczna stała się pod koniec życia skąpą. Pewnego dnia, ciotka moja Karolina powracając z cmentarza, wstąpiła do przyjaciółki około południa dla chwilowego wypoczynku; p. Jenny z przerażeniem zawołała: „Aber Karoline, ich habe mich heute gar

nicht gehofft, ich habe nur zwei Bier auf Spinat!" Wykrzyknik milionerki ciotkę rozśmieszył i odpowiedziała: „Nie bój się Elizo — zaraz idę do domu, gdzie na mnie obiad czeka!"

O ile pamiętam w r. 1858 przybyła do Krakowa ze swoim zespołem słynna aktorka Fryderyka Gossmann, która w roli tytułowej przeróbki z powieści Karoliny Birch-Pfeiffer „Die Grille" święciła w całej Europie niebywałe tryumfy. Otóż to przedstawienie zaprosiła p. Jenny do swojej loży ciotkę Karolinę i mnie. Ucieszyła mnie ta propozycja, gdyż teatr bardzo lubiłam. Zajęłyśmy 3 przednie krzesła w loży a Henryk zasiadł czwarty za nami. Fryderyka Gossmann rzeczywiście uro-

czem była zjawiskiem, czarowała wdziękiem natu-
ralności, żywym temperamentem; w scenach uczu-
ciowych umiała się wznieść do szczytu artyzmu,
wyciskając łzy u tkliwych widzów. Właśnie gdy
po jednej z takich scen zapadła kurtyna i cała
publiczność pod wrażeniem mistrzowskiej gry
jakby zahypnotyzowana milczała, zerwał się za na-
mi swoim kaczym głosem Henryk Heine do ciot-
ki mojej: „Fräulein Caroline, ist Ihnen ein
Paar Würstel oder ein Glas Bier gefällig?" Dopiero
w tej chwili zerwała się burza oklasków. Gossmann
kilkakrotnie ukazała się na scenie, ale ja przy-
puszczam że tym razem sławna artystka choćby
cząstką oklasków podzielić się musiała z Henry-

-kiem Jennym... Gdy kurtyna zapadła, czułam że naszą lożę zaczęto lornetować! Miałam lat 15 i byłam nieśmiała, to też chciałabym wtedy była zapaść się w ziemię a przynajmniej pod krzesło. Ofiarowano nam następnie, przez niefortunnego „cavaliere servente" cukierki nie przeszkadzały mnie, a czas gry p. Gossmann bezpowrotnie przeszedł. — W lat kilkanaście spotkałam w Gmundenie p. Gossmannę, już hrabinę Prokesch-Osten, i przypomnienie komicznego zdarzenia szczerze mnie rozweseliło.

Johnowie i Götz-Okocimski

Browar Juliusza Johna prosperował świetnie. Pod koniec życia szef firmy mógł już nieco odpocząć, zwłaszcza, że zastąpić go umiał wykwalifikowany piwowar, chłop niemiecki, nazwiskiem Götz. Po śmierci ojca Juliusza objął browar syn najstarszy Rudolf. Na początku szło przedsiębiorstwo dobrze, dopóki nie ustąpił Jan Götz, otworzywszy na swoją rękę browar pomiędzy ulic: Kupnicze i Podwale (dziś seminarium żeńskie i kawiarnia „Esplanada") w lat kilka drugi browar w Okocimiu, urządziwszy zakład ten wspaniale, na stopę europejską.

Janowie Götzowie mieli syna Jana i 2 córki, któ-

nym dali wychowanie polskie i wielkoświatowe; starsza córka wyszła za ziemianina Włodka, druga za [illegible] zaś syn Jan, dziś właściciel Okocimia jest szefem wielkiej firmy, zasiadał w parlamencie austryackim, a w ostatniej dobie tego cesarstwa (1918r.) piastował godność prezesa Koła polsk. Ożeniony z hrabianką Zumińską jako baron Götz-Okocimski, który to przydomek otrzymał od cesarza Franciszka Józefa I. wszedł w sferę arystokracyi polskiej. Obie córki br. Jana Götz-Okocimskiego wyszły za Polaków; jedna za hr. Badeniego z Branic

Rudolf Zohn sprzedał browar złotodajny Piotrowi Skocimskiemu, nie mogąc wytrzymać groźnej konkurencji. Dzieci zaś Zohnów odziedziczywszy po ojcu żyłkę karciarską, stracili dużą fortunę po dziadku i ojcu im pozostawioną. Z dwóch córek, starsza, Eliza wyszła za Dr. Brika, prof. Uniw. Jag. słynnego operatora; owdowiawszy zamieszkała w Wiedniu. O całej rodzinie dziś już tylko starsi ludzie coś pamiętają – zresztą słuch o niej zaginął. „Fortuna kołem się toczy.” Skrzętność, pracowitość i oszczędność szwajcarska, połączona z semickim sprytem, tym razem nie dała dodatniego wyniku... W trzeciem pokoleniu powodzenie

rodziny Zemmich i Schmer poczęło się chylić ku upadkowi! Dziś słuch o niej zaginął a przecież była to rodzina, która w krakowskiej sferze mieszczańskiej zaznaczyła się wcale niepoślednie

Nemezis dziejowa.

Krąży po całej Europie legenda, że kiedy w r. 1849 na stokach twierdzy Aradu powieszono 11 największych patriotów węgierskich w obecności generałów: Windischgrätza i Majerhofera, ktoś rzucił klątwę na młodziutkiego wówczas cesarza Franciszka Józefa! aby tyleż osób z jego rodziny zginęło w sposób tragiczny. Między r. 1849 a 1914 ziściło się to przekleństwo co do joty.

Ofiarami byli:

1. Maksymilian, cesarz Meksyku, rodzony...

Zmarły tamże w r. 1866.

2. Arcyksiężna Matylda, córka arcyks. Albrechta, spaliła się od papierosa.

3. Arcyksiążę Wilhelm zginął, spadłszy z konia.

4. Arcyks. Otto [illegible].

5. Arcyks. Zygmunt zginął na polowaniu.

6. Król Ludwik II. bawarski utonął w jeziorze.

7. Księżna d'Alençon, siostra cesarzowej Elżbiety, spaliła się w Paryżu w czasie pożaru na zabawie na cel dobroczynny.

8. Następca tronu, arcyks. Rudolf, zastrzelił się w Mayerlingu.

9. Cesarzowa Elżbieta zamordowana przez anarchistę w Genewie.

10. i 11. Śmierć następcy ks. Ferdynanda i żony jego w Sarajewie, z wykonanego na nich zamachu przez Serba Principa.

W dodatku w r. 1918 „finis Austriae" !!

Spis rzeczy.
